

Warszawa, 1878 r.

Siedzę w celi na lodowatej posadzce,
Wcześniej hasałem wokół w niesfornej gromadce.
Jędrzej, guru grupy, pokazał nam piękny dom.
Aż szkoda, na myśl jakby w niego uderzył grom.
„Bogactwo, majątek – tutaj mieszkają Żydy.”
Powiedział Jędrzej. „Powybijajmy im szyby!
Janek, [tak mnie wołano] rzuć pierwszy, bier kamień!”
Podał mi dość spory głaz i poklepał w ramię.
Nie bacząc, w okno na pierwszym piętrze rzuciłem.
Trzask się rozległ, szkło rozprysło - w środek trafiłem.
Wtem zaś moi kompani poczęli uciekać;
Ja też, lecz stopa z kamienia musiała zjechać.
Upadłem, kolano rozbiłem. Spojrzałem w tył.
Mężczyzna stał w drzwiach i z nienawiści wył:
„Wy bandity! Wy chuliganaw!” – tak on ryczał!
„Swołocz! Ja budu wam! Milicja! Będziesz kwiczał!”
Zląkłem się bardzo. Dopędziła mnie oblawa.
Tu nie ma żadnych Żydów! Rusy dotkła sprawa!
Chciałem się ruszyć, ale kolano bolało.
A przyjaciele? Żadne z nich nie poczekało.
Z okien patrzyli inni mieszkańcy. Facet podszedł,
A razem z nim strach do mnie jeszcze większy przyszedł.

Alexander Kotzebue był mężczyzną w drzwiach.

Wiele mniej przeraziłby mnie giełdy duży krach.

To brat namiestnika Warszawy! Słynny malarz!

Co ja miałem począć?! Z czego zapłacić haracz?!

Wtem pochwycili mnie dwaj rośli mundurowi.

Nim do dorożki zabrali, ręce mi skuli.

Sąd, godzina trzecia. Ostatnią ma rozprawa.

Zbiegła się dosyć spora część miasta Warszawa.

Ponoć ten sędzia lubił na chłostę skazywać.

Nie chciałem się jednak mundurowym wrywać.

Sędzia zapytał: „Dlaczego rzuciłeś w szybę?

Przy domu artysty miałeś taką potrzebę?”

„To nie ja chciałem! To Jędrzej! Łon mi tak kazał!”

„A skoczyłbyś do Wisły jakby ci nakazał?”

„Łon powiedział, że tak trzeba, bo tam som Żydy.”

„Sztó ty skazał?! Łoj, nie prędko łopuścisz dyby...

Jam też Żyd, i szto? Rzucisz mi w głowę kamieniem?!

Albo uderzysz mnie tera jakim rzemieniem?!”

Zamarłem. „To aż tak pan sędzia jest bogaty?!”

„Molczats!!! Porki mu trza!!! Dwa mendle na trzy knuty!

A noc prześpisz w więzieniu - kat jest na urlopie.”

Na myśl aż zaswędziała mnie skóra na dupie,

Nogi ugięły. Dostanę prawdziwym batem!

Przeraziłem się. Wiem jak to jest dostać pasem.

To już jest źle. A co dopiero długim biczem!

Stanę więc przed palącego bólu obliczem.

Jak wielkie odniosę rany? Czy się zagoją?

Mam czekać noc spokojnie aż mi skórę złoją?

„A za szybę kopa rubli – pokwitowanie.”

Biada mi! Od ojca jeszcze bardziej dostanę!

Sędzia uderzył młotkiem i koniec rozprawy.

Zawieźli mnie więc do innej części Warszawy.

Zabrali do szarego budynku i tak siedzę.

Ciemno tu. Czeka mnie kara. Co to będzie?!

Wtem przez kraty w oknach ujrzałem jakieś cienie.

Ciekawskie postacie – to byli „przyjaciele”!

„A bodaj pieron was! Jeno tyle umiecie?!”

Krzyknąłem. „Siedź cicho tera! Czekaj na bicie!”

Łzami się zalałem: „Jędrzej jo cię zabiję!

Wy ubljudak! Ło jo zech biedny... Co to będzie?!”

Ponoć był zwyczaj, że baty w soli maczano,

Zatem błahostką będzie rozbite kolano!

Może to dziwne, ale istniała ustawa,

Która dawać więźniom witaminy kazała.

Nie miałem jednak ani trochę apetytu.

Na moich plecach pozostanie blizn bez liku.

Naczelnik odczytał mi chłosty regulamin.

Słuchałem, zajadając się paczką witamin.

Jak trza się zachowywać w poszczególnych fazach?

Skazanemu wolno krzycheć tylko po razach.

Nie mogę się także odzywać nieproszony.

Z ubrań ponad pas zostanę ogołocoony.

Muszę stosować się do rozkazów strażników,

Mundurowych, namiestników i naczelników!

Biurokracja! Ile jeszcze mam się nasłuchać?!

W więzieniu nawet miski nie można wypłukać.

Chcę to mieć za sobą. Cały dzień jutrzejszy.

Wyspałbym się, gdyby tylko loch był cieplejszy.

Musiałem się jeszcze do batów przygotować –

- Starannie całe plecy oliwą wysmarować.

Cóż żech zapamiętał z tej strasznej nocy w celi?

Odór! Z miejsca, gdzie starzy więźniowie siedzieli.

Jeden z nich wziął zapytał za co mnie wsadzono.

Rzekłem, iż coś stłukłem i źle mnie osądzono.

Przyznałem, że czekają mnie baty i grzywna.

Przeraził się współwięzień: „To nie twoja wina!

Cóż za łokrutne rządy ten kraj łokupują!

Kalectwem chłopca każą! Na śmierć ubiczują!

Pięćdziesiąt minie lat jak siedzę w tej niedoli!

Nie chcę stąd wychodzić i patrzeć jak cię boli!”

Czy ten nieszczęsny człowiek miał na myśli Żydów?

O wiele bardziej obchodził mnie los moich pleców.

Nie pomogły mi wcale te słowa „otuchy”.

Baty będą ciężkie, nie okazałem skruchy!

„Jak ni bydziesz móg wyczymieć, rycz wniebogłosy!”

Rzekł więzień, którego raz zbito koło szosy.

„Sama chłosta to dopiero udręk początek!

Bób! Bandaże! Jakbyś wyłół na plecy wrzątek!

Później zech polegiwoł przez miesionc na brzuchu.

Zrobiły mi się łodlezyny łod bezruchu.

Z tyłu rany, z przodu rany... pozał się Boże!

Widziolech swe bijące serce – jak w horrorze!

Dostałech końskim batem – doszło zakażenie!

Wim, że jesteś hardy. Wyczymiesz ciosów wiele;

Wy wsiegda budzicie imieć śledy na ciele...

Przekonamy się, na którego kata trafisz.

Nie żeby, któryś z nas tu chciał cię jakoś straszyć,

Acz niektórzy mięśnie łod kości łodbijają;

Najcięższe baty do chłostania wybierają.

Nie wiem co gorsze: cyrkowy bicz bardzo długi,

Czy też pejcz z hakami. Krew i tak leci w strugi.

A może złoją cię jeno pasem zwyczajnym.

Tyś bajtel, a lzy ciekną najbardziej łodważnym.

Lepiej w dupę niż w plecy – nie łodbiją nerek,

Co spowodowałoby komplikacji szereg.”

Potem zdjął koszulę, by swe blizny okazać.

Na ich widok zemdlałem, chobym zaczął spadać.

Przyszli po mnie już o godzinie szóstej rano.

Próbowałem uciec. W kąt celi mnie zagnano.

Z jednej strony chciałem tą chłostę mieć za sobą.
Z drugiej nie chciałem czuć jak plecy strasznie bołą.
W końcu wyprowadzili mnie w ciasnych kajdankach.
Po tej chłości nie będę mógł jeździć na sankach!
Na furmance zawieźli mnie znowu do centrum.
Podczas jazdy mój strach osiągnął apogeum.
Powoli zbliżałem się do miejsca mej kaźni.
Przybędą z delegacją jacyś ludzie ważni!

Gdy stanęliśmy zgromadzenie już czekało.
Dostrzegłem krew. Przede mną już kogoś chłostano!
„Skończyli go batożyć i łodepchnęli.
Padł zara, ale litości żadnej nie mieli.”

Opowiadał wokół ludziom jakiś stary dziad.
„Za moment ukarany zostanie kolejny gad!”

O rety! Dostrzegłem w tłumie moich rodziców!
Rozmawiali spokojnie wśród innych kibiców.

„Nieletni Jan Ziemba. Wyrok w imieniu cara:
Szestdziesiąt rublżej placić oraz chłosty kara.
Trzydzieści razy. Każde dziesięć - innym knutem!”

I rzucili mnie na ziemię, przydepli butem!
Jednak zaraz podciągli mnie i skuli w dyby.
Chciałbym, żeby to wszystko działa się na niby...
Nie czekałaby na mnie wówczas kara sroga,
Jak ja, głupiec, dałem się podpuścić! Na Boga!

Szarpnąłem się. „Puśćcie mnie! Chcę wrócić do domu!”

Milicjant rzekł: „Żel szto ty? Chcesz się skarżyć? Komu?”

„Puśćcie mnie! Tak przecież nie można! Ja nie chciałem!”

Tłum chichotał, a ja ile sił się rzucałem.

„Jeszcze gówniarza nawet kat batem nie bije,

A łon już niczym węgorz pod nożem się wiję!”

Darłem się dalej: „Wypuście mnie!!! No kurwa mać!!!”

Oburzył się tłum wokół. „Więcej batów mu dać!”

„Ja umoliaju was!!!” – rozpaczliwie krzyczałem.

Przeczekano histerię - po niej jeno drżałem.

Wszyscy byli oburzeni mym zachowaniem.

Byłem przejęty czekającym mnie chłostaniem.

„Możet byc nie kricziets?” – zapytał mundurowy.

„Ja bojuś...” jęknęłam, czując żelazne okowy.

Bez nadziei i bez sensu nimi szarpałem

I tak, co jakiś czas sobie pobrzękiwałem.

Czy istniała szansa, że któraś z oków pęknie?

A ja uwolnię się i do domu ucieknę?

A gdybym tak poprosił o zmianę typu kary?

Od chłosty wolę dłuższe więzienia koszmary.

Zaprzyjaźniłbym się bardziej z tymi więźniami,

A tu muszę mierzyć się z ciężkimi razami.

„Teraz?! Nie ma mowy! Był czas, by się odwołać.

Wasza bieda, szto wy nie znali. Możesz wołać.

I tak bym się nie zgodził. Z więzienia można wyjść.

Ból spamiętasz” rzekł sędzia, a ja zacząłem wyć.

W tłumie zjawił się filozof miejscowy:
Ludwik Waryński - był demagogiem sejmowym.
„Czy istnieje sens katować tego młodzieńca?
Czy sąd nie wymyśli innego przedsięwzięcia?
Jaki jest koszt tego całego zgromadzenia?
Tych narzędzi, katów, więzienia opłacenia?
Jaka jest korzyść społeczna z tego wszystkiego?
Poprawi naszą sytuację bicie jego?
Lepiej uczyć niż karać. Lepiej dać niż lać!”
„Zamilcz socjalisto! Won! Tu nie jest twoja brać!”
Przynajmniej jeden człowiek stanął w mej obronie.
Oddam głos na niego kiedyś i łzy uronię.
W końcu jednak sędzia stracił do mnie cierpliwość
I rozkuł mnie z dybów. Czy okaże mi miłość?
Postawił mnie przed tłumem i spytał, co zrobić...
Tłum odpowiedział jednogłośnie: wybatożyć!
Najgłośniej krzyczeli wtedy moi rodzice...
Sędzia rzekł: „Dziękuję, zatem czeka go bicie.”
I rzucił mną w dyby, gdzie skuli mnie z powrotem.
Dla nich wszystkich byłem palonym żywcem kotem!

Po kwadransie próśb i gróźb w końcu opadłem z sił.
Teraz nadszedł moment, w którym kat będzie mnie bił...
Cud! Poluzowały się kajdany na rękach.
Wyszarpiłem je z dybów i stanąlbym na piętach,
Ale wtem mój czujny ojciec wyskoczył z tłumy;

Wepchnął mnie w dyby nie zadając sobie trudu.
Nowy, cięższy łańcuch pośpiesznie przyniesiono.
Krzyżąc po rosyjsku w twarz mnie nim uderzono!
Straciłem przednie zęby, krew się wnet polała.
Stojąca obok zakonnica oniemiała.
Jak oni mogą tak okrutnie postępować?
W sumie to jak długo zamierzają mnie biczować?
Młody kleryk w czarnej sukni błogosławił mnie.
Będąc w dybach nie byłem w stanie przeżegnać się.
Wtem głos zabrał ksiądz prymas Ledóchowski –
- Arcybiskup przychylny Prusom. Zdrajca Polski.
„To zaszczyt być biczowanym jak Jezus Chrystus.
Zgromadzeni tu tylko posłuchamy świstów.
Trzydzieści batów tylko raz starca zabiło,
A takiemu jak ty jeszcze nie zaszkodziło.
O co tyle krzyku?! Musi być jakaś pokuta!
I grzywna w rublach – to bardzo dobra waluta.
Przyjmij wszystkie baty w imię Ojca i Syna
I Ducha Świętego. Niech twarda będzie lina!”
Po tych słowach odprawił jeszcze nabożeństwo.
Bardzo religijne było to polskie księstwo.
Ojciec i matka pozostali nieugięci.
Inni gapie wydawali się wniebowzięci.
Miałem lzy z piachem na wykończonej twarzy.
Stary dziad krzychał: „Chłosta wielce cię obdarzy!”
Niech złączą mnie już łać. Niech skończy się ten chaos!

W takim tempie wyrośnie mi już prędzej zarost.
Czekałem z niepokojem na ciosów początek.
Wiedziałem, że to najgorszy w moim życiu piątek.
Nie myślałem, że czeka mnie kara straszliwa,
Choć rozbite okno to w pełni moja wina.
W tłumie stali ludzie posępni lub weseli.
Mundurowi ze stołem batów przybieżeli.
Myślałem nad tym, czy bardzo będzie bolało
I jak wiele bliskich osób mnie oszukało.
„Ja proszę... lekko” szepnąłem, gdy kat był obok.
Rzekł: „Z całej siły! To mój zawód. Ja nie borok!”
Owiał mnie chłód, gdy on rozerwał mi koszulę.
Namiestnik patrzył z uwagą na mą niedolę:
„Ten młody człowiek w pełni zasłużył na karę!
Niech każdy raz zostawi mu na zawsze szramę!
Podgatować knuty! Graf wsłuch każdego bita!”
Liczyłem, że mnie ułaskawi, a tu lipa.
Krzyknęłam: „Za jeden raz batem wolę sto pasów!”
Kat obliczył: „To będzie trzy tysiące razów.
Wymierzanie potrwałoby cztery godziny.
Zabrakłoby mi jednej roboczogodziny”
Kat wziął pierwszy knut. „Adin!” Rozpoczął. Świst! Trzask! Krzyk!
Myślałem, że to kat z mocy, ale to mój ryk.
„Dwa!” Świst! Trzask! Krzyk! Poczulem ciepło krwi na plecach.
„Tri!” Ból przypomniał mi o biczowanych Grekach.
„Citirie!” „Nie wytrzymiem!!!” „To początek!

Piec!” Spojrzałem z błaganiem na świętek.
„Łojcze! Łojcze! Dlaczego mnie nie uratujesz?!”
„A po co?! Jak na łopinię rodziny plujesz!
A nie łoszczędząć tutaj go! Lać i po tyłku!
Ażeby ryczał tak jak krowa na Powiślu!”
Nic już teraz nie zdoła mych łez zatamować;
Ani krwi z ran pleców, które kat raczył orać.
Łzy zaczęły mi płynąć teraz szybciej niż krew
Z ran, których nie zdoła nigdy zamknąć żaden szew!
„Nie rób mi wstydu! Przyjmij baty jak mężczyzna!” –
Rzekł ojciec, gdy cień rzucała jego tężyzna.
„To dla twojego dobra!” – powiedziała matka.
Chyba zdawała mi się ta ich gadka-szmatka.
Nie przeszkadzało im, że tłucze się ich syna
Za głupią szybę, i że to nie jego wina.
Sam zgubiłem rachubę już przy pierwszych razach.
Prawie straciłem przytomność w kolejnych fazach.
Medyk cucił mnie octem, gdy spuszczałem głowę.
Nie miał prawa jednak leczyć bólu chorobę.
Ból był tak silny, że aż graniczył z rozkoszą,
A koniec pejcza rozrywał skórę ochoczo.
Wiedziałem, że każdy bat będzie bolał strasznie,
Ale nie myślałem, że skończę aż tak marnie.
Brakło mi tchu, żeby krzyczeć, plecy płonęły,
A włosy kata fruwały jak te Jagiełły.
Krew bryzgała na tłum najbliższy widowisku,

Acz nie przeszkadzało to stojącym w tym ścisku.

Podczas gdy ja cierpiałem męki za swe winy,
Stary dziad stał przede mną, strojąc dziwne miny.
Tamten stary dziwak wyśmiewał moje męki,
Choć sam pewnie nie przeżyłby takiej udręki.
Chłóście wtórowała też orkiestra z bębnami,
Choć zagłuszałem ją, wyjąc między ciosami.
„A niech się wydziera wniebogłosy kanalia!!!”
Usłyszałem i wnet popuściłem fekalia.

„Szesc! Siem! Wosiem! Diewiec! Diesjec!” Zamiast trzasku – plask.

Teraz przyszło, by kat wymienił na inny bat.
Spośród przygotowanych wziął wielki i ciężki.
I gdy zmiążdżone miały zostać moje plecki
Rozległ się pełen wściekłości ryk: „Zostawta go!
To nie łon jest wart! Bierzcie chuligana tego!
Chciał podpalić mój dom! Gangster i antysemita!”
Zobaczyłem przed sobą brata namiestnika.
Trzymał za szmaty mojego guru Jędrzeja.
Czyżby teraz jego oczekiwała haja?
„Atpuscicje jego i dac miedikom. Ruchy!
I szto drugije adna dwuspalnaja knuty!”
„Błagam!!! Wszystko jeno nie chłosta!!!” – wrzeszczał Jędrzej.
„Nakazać jego! Ticho byc, bo będzie gniewniej!”
Namiestnik wydał rozkaz i uwolniono mnie.

Trafiłem do medyków. Ci opatrzyli mnie.
Ostatnie, co pamiętam, to ryk Jędrzeja: „Nie!!!”
Dostał on podwójne baty.
Takie to były czasy...
Po jego obu stronach stanęły pręgierze
Dla innych skazańców niedostatecznych w wierze.
Zapadł mi w pamięć tenże obrazek biblijny,
Gdy współczuł mu słaby, a wyśmiewał go silny.
Ponoć, po którymś razie kat biczować przerwał,
Spojrzał memu guru w twarz i kontynuował.
Ale po pięćdziesiątym rzekł: „Nie warto bić w mięso”
Skończono, gdy Jędrzej miał łzy i krew pod rzęsą.
Antysemickich wybryków z nim już nie było.
Gro tych jak Jędrzej kwiaty od spodu wachało.

Ocknąłem się w lecznicy, w bandażu odziany.
Prawie bym zapomniał, że wcześniej byłem lany.
Z rana i wieczorami zmiany opatrunków
Bezże jakichkolwiek sanitarnych warunków.
Na nikim nie robiły wrażenia me piski,
Gdy medyk przemywał mi rany szkocką whisky.
Ze skórą wyrywano zaschnięte bandaże.
Później czyszczono je niby w gorącej parze
I zakładano mi je na plecy ponownie.
Przyklejano je taśmą niezwykle starannie,
Jakby obawiano się, że same odpadną.

Lekarz myślał, że mięśnie od kości odejdą.
Prawie widziałem widok własnej mogiły.
Tak się nie stało, acz rany wolno goiły.
Dotarło do mnie, że mój czyn nie był chwalebny.
Spowiedzi mej wysłuchał w lecznicy wielebny.
Powiedział mi, że Jędrzej zmarł w męczarniach tracąc krew.
„Jesteś współodpowiedzialny też za jego grzech”
Widzieć jego obrażeń nie było mi dane.
Ponoć jego plecy były tak rozszarpane,
Że widać było kości jego kręgosłupa
W miejscu, gdzie powinna zaczynać się już dupa.
Nawet jakby przeżył, nie działałyby mu nerki,
Bo zahaczył o nie pejcz długi i wielki.
Wykończyłoby go z pewnością zakażenie.
Do końca życia mógłby robić chłop pod siebie.

Pogrzeb mnie ominął. Wróciłem po miesiącu.
Spociłem się w lipcowym, upalnym gorącu.
I tak dostałem w domu jeszcze jedno lanie,
Bo ojciec musiał spłacić pokwitowanie.
Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia.
Zmianie uległy do bicia przyzwyczajenia.
Myślałem, że się po tej chłości nie pozbieram!
Ale wystarczy, że z rana plecy nacieram.
Nowe szkło sam musiałem malarzowi wstawić,
A on pochwalił, lecz rzekł, że mam się poprawić:

„Nie wybijaj więcej bezmyślnie żadnej szyby!

Nim rzucisz głaz sprawdź, czy faktycznie w środku Żydy...”

Gdy przeżyłem tą chłostę miałem lat dwanaście.

A świętej pamięci Jędrzej miał siedemnaście.

Być może nie wierzycie w całą tą historię,

Dlatego podam Wam na dowód alegorię.

Malarz, któremu zbiłem tę nieszczęsną szybę,

Na płótnie zwykł oddawać historie prawdziwe.

Jego obraz z biczowaniem Pana Jezusa

Symbolizuje jak wyglądała ma chłosta.

Są moi oprawcy jako faryzeusze,

Sędzia jako Piłat i inne marne dusze.

Ojciec przedstawiony jest jako Piotr apostoł,

Który się mnie wyrzekł, nie przejmując się chłostą.

Broniący mnie filozof to Szymon z Cyreny,

A wokół niego elektorat mu wierny.

Strażnicy tutejsi to postawni Rzymianie,

Codziennie sprawiający nieszczęśnikom lanie.

Orkiestrę natomiast ujął tu w formie chóru

Który zawodzi, aby zwiększyć czucie bólu.

Pozostali więźniowie wiszą w tle na krzyżach.

No i jeszcze tłum – ludzie o groźnych spojrzeniach.

Jako demon jest tutaj śmiejący się dziwak,

A Jędrzej jako Judasz rozbił sobie biwak.

Matka Boska ukazana w formie karcącej,

A całe to malowidło - w oczy mydlącej.
Ukazują je odplątnie moi wnukowie.
Jeden z nich, za flaszkę, historię tą opowie.
Istniała też fotografia mych rannych pleców,
Ale nie wytrzymała do dwudziestego wieku.

Do dziś, będąc codziennie nad Jędrzeja grobem,
Myślę nad zasłyszonym od malarza słowem.
Czy złym człowiekiem jest żyjący w Warszawie Żyd,
Że bratu namiestnika przeszkadza jego byt?
Czy mam znów szukać na mieście domu pięknego
I na żwirowisku głazu odpowiedniego?
Jedno jest pewne i taka też kolej rzeczy:
Najpierw rzucasz kamień, a potem bolą plecy...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zewediach, dodano 03.11.2018 10:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.